



Kliki istniały zawsze. Myślę, że już nasz małpolidoidalny praprzodek upolowawszy mamuta dawał jego kości do obgryzania członkom swojej klikki.

W Polsce Ludowej jesteśmy świadkami werbalnych batalii przeciwko klikom, od których sama instytucja jednak nie zginęła. W prasie ciągle czytamy o demaskacji takiej czy innej klikki, z czego wynika, że kliki mają równą polipowi zdolność regeneracji.

Gdy zapytamy dziś przeciętnego człowieka, co mu najbardziej w życiu dokucza, odpowie częstokroć: kliki (co bynajmniej nie znaczy, że sam nie jest członkiem lub wodzem swojej klikki, której przeskakują inne kliki, a jeśli mu to wypomnieć, odpowie, że jego klika jest formą samoobrony przed innymi klikkami). Specyficzne właściwości ludzkiej natury oraz wyłożony w nawiasie mechanizm sprawia, że kliki, o czym dobrze wiemy, bywają nęstyły zbyt często podstawową komórką budowy społeczeństwa.

Dlatego też walka z klikkami będzie dopóty donkiszoterią, dopóki nie dokonamy szeregów rozbiórki pojęcia „klikki” i nie zdamy sobie sprawy, że tylko z niektórymi jej formami walka jest możliwa i konieczna. Klika bowiem kłieca nie jest równa.

Kliki powstają żywiołowo, w sposób naturalny i nieodczuwany. Przypuśćmy, że Ty, Czytelniku, który jesteś wrogiem klik, dostajesz nominację na dyrektora przedsiębiorstwa, które jeszcze nie istnieje, a które właśnie masz zorganizować. Kogo angażujesz? Znajomych bliższych i dalszych. Dlaczego? Jesteś przecie człowiekiem uczciwym, któremu dobrze powierzona Ci praca bardziej leży na sercu niż rozdanie znajomkom ciepłych posad. No tak, ale Ty masz tu na uwadze — wcale nie ironizuję — przede wszystkim dobro powierzona Ci placówki. Bo wiesz, że jeden Twój znajomy jest dobrym inżynierem, a drugi — doskonałym pianistą itd. O ludziach, których znasz, wiesz co są warte. W odróżnieniu od ludzi, których nie znasz, o których nie wiesz. A więc w imię sprawnej pracy angażujesz „swoich ludzi”, czyniąc to w jak najlepszych intencjach i zgodnie z regulami poprawnego rozumowania.

Na pewno powstała już klika, ale nie ma w niej nic zdrożnego. Przeciwnie, masz pewne projekty dotyczące prowadzenia przedsiębiorstwa, a ludzie, których znasz

Dokończenie na str. 2

... A kiedy narodowie już postronni znają
Że łodzianie nie gęsi i swój teatr mają,
My na cny jubileusz życzymy ci barzo
Byś teatr narodowy otworzył nam w darze,
Niech wżdy zasługę koronuje sława;
Na placu Dąbrowskiego chcemy bić ci brawa.

odqłtosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 13 grudnia 1959 r.

Cena 1 zł Nr 50 (94)



Scena ze sztuki „Żywot Józefa” w Państwowym Teatrze Nowym



Przedstawiamy państwu pannę Martę, rodowitą prażankę. Jej znajomi twierdzą, że jest podobna do legendarnej czeskiej księżniczki Libuszy, w związku z czym nasz fotoreporter z zapalem wziął się do studiowania historii pobratymców z południa.



Praga słyne z pięknej architektury. Szczególnie zabytki gotyckie wzbudzają zachwyt historyków, malarzy i turystów

PRZECHADZKA PO PRADZE str. 3

Co to znaczy CZŁOWIEK KULTURALNY?

HENRYK ANDERS

Z tysiąc i pierwszej konferencji poświęconej rozwojowi kultury w mieście Łodzi wyszedłem drżący z emocji. Jakże wspaniała czeka nas przyszłość. Szczęśliwe miasto, szczęśliwi ludzie...

— A białe plamy? — zapytał redaktor. Poszarzały świetlane wizje. — Widzi pan — zacząłem nieśmiało — w całociowym planie inwestycyjnym. Machnąłem ręką. Plany planami, inwestycje, inwestycjami. Nim abstrakcje przetworzą się w żelbet, ileż to tysięcy, dziesiątków tysięcy istnień ludzkich — w wielkim środowisku nauki i sztuki — zmarnieje odciętych od kultury, nieświadomych nawet swego zacofania.

Przypowieść o głodnym wędrowcu

Szedł przez pustynię głodny wędrowiec. Znalazł worek pereli i jęknął żalostnie: „A już się cieszyłem, że to kasza”.

Ja nie tylko w sprawie pomników. Budujemy teatry, muzea, biblioteki naukowe. I słusznie, bo są potrzebne, bardzo potrzebne. Ale czym nakarmimy głodnych?

A każda biała plama na mapie kulturalnej to ileś tam procent braków w produkcji, to obniżona wydajność pracy, to...

Tak sobie gorzko rozmyślając wracałem do domu. W tramwaju było tłoczno, dając słowo, nie pachniało lawendą. Obok mnie stała dama, nadobna, jak tylko pozwalają wypróbowane od wieków zabiegi. Wykupując bilet zdjęła rękawiczkę. Spod krwistych paznokci wyrzwały tłuste półksiężycy brudu.

Te czarne plamy dobiły mnie do reszty. Niby nie nowego, a przecież nowy problem. Jak w kiepskim filmie: białe kontra czarne. Co zwalczać najpierw?

Wstydzimy się plam. Dajmy do kultury — nie masowej, to złe słowo — powszechnej. Ale co to jest kultura? Pomimo niezliczonych na ten temat rozpraw pytam w nieskończoność: co to znaczy człowiek kulturalny? Szukamy, często w gwałtownych sporach modelu, który by odpowiadał epoce.

Biały kołnierzyk i matura

Był czas, kiedy kulturę utożsamiano z dobrym urodzeniem i polem towarzyskim. (To nie przytyk, o nieznojona z tramwaju, ówczesne markizy i komtessy nie domywały się również). Później, za panowania burżuazji, symbolem inteligenta stały się biały kołnierzyk i książka. Patent na przynależność do kręgu ludzi kulturalnych dawała matura klasyczna.

W drugiej połowie naszego wieku, kiedy poczęła zanikać różnica między pracą fizyczną a umysłową, przeżyły się oba stanowiąc elitarne wzorce. Jaki jednak postawimy w zamian?

Uczony, artysta, konstruktor, działacz na niwie, u-

świadomiony proletariusz? Gdy porozmawiać z ludźmi każdy — nie uogólniamy — prawie każdy stawia za wzór samego siebie. Człowiek kulturalny to on, jego bierzemy za przykład. Bo jest ocytany, bo tworzy nowe wartości, bo walczy o lepsze jutro, bo to i tamto.

Myślę, że — nie gardząc wiedzą książkową ani czytelnymi rękami — prawdziwej kultury dopatrywać się będziemy raczej w postawie wobec życia, w osobistym twórczym wkładzie jednostki w dzieło przebudowy świata. I chociaż nie jest obojętna wielkość tego wkładu, nie ona decyduje, lecz poczucie odpowiedzialności.

Istnieje doskonałe powiedzenie angielskie: gentleman — synonim osoby kulturalnej — wie COS o wszystkim i wszystkim o CZYMŚ. To znaczy: jest człowiekiem o szerokich horyzontach i dobrym fachowcem w swojej specjalności. Ale, jeśli dokładniej się włączyć w istotę sentencji, znaczy to również — jednako przyczynia się do realnego przekształcania bytu, jak troszczy o kształtowanie i pogłębianie własnego intelektu.

Powiedzonko przemilcza dziedzicze obyczajów. Nie

Dalszy ciąg na str. 2



Ach, ta turystyka! Kręci się nam Iza w oku, kiedy porównujemy świetnie zorganizowaną turystykę zagraniczną w Czechosłowacji z tym, co improwizuje się od czasu do czasu u nas. Czesi piękno swego kraju umieli zmienić w prawdziwą kopalnię dewiz. A my?



A oszczędzają wszyscy, bo wszyscy chcą — podobnie jak w Polsce — kupić samochód. Z tym, że więcej jest takich, którzy te marzenia realizują. Wystarczy wpłacić na docelową książeczkę oszczędności 25 000 Kcs i poczekać rok na Oktawię. Lub za Felicję — sportowy kabriolet, do którego wzdychają wszystkie piękne panie — zapłacić gotówką 45 000 Kcs i bez czekania zasiąść za kierownicą.



Najwięcej zaimponował nam w Czechach sposób rozwożenia opału. Samochody ciężarowe rozwożą takie oto platformy z odważnym starannie węglem i pozostawiają je przed domem zamawiającego. Potem przychodzi trzech młodych, sympatycznych ludzi — i w mig węgiel jest w piwnicy. Dostaje na piwo (ale na piwo, a nie na sakramentalną ćwiartkę) i wkrótce zjawia się inny samochód, by zabrać pustą platformę. Nikt nikogo nie nacina, wszystko odbywa się bez klótni, przekleństw i wymyślań. Technika, proszę państwa!

PRZECHADZKA PO PRADZE

W Pradze każdy chce brać ślub w zabytkowym ratuszu. Bo to i uroczysta sala, w której zapadła nie jedna historyczna decyzja, i w ogóle nastrój. Pan w czarnym ubraniu gra na organach marsza weselnego Mendelssohna, pan w smokingu spisuje akt małżeństwa. Przeżyte co się zowie! — I może dlatego — jak twierdzą złośliwi — prażanie tak często się rozwodzą, by przeżyć te emocje od nowa.



W Pradze nie ma odpowiednika Warszawskich Ciuchów. W zaułku Starego Miasta natknęliśmy się natomiast na stragany ze starczyzną. Lecz oczywiście nikomu nie przyjdzie do głowy tu się ubierać.

PRODEJ LOSÓW

Čs. státní loterie



Prażanie pasjonują się filmem amatorskim — nawet mimo brzydkiej jesiennej pogody. Za dekoracje służy najczęściej oczywiście Wltawa i przepiękny most Karola.

Epidemia hazardu dotarła i tu, lecz — jak nam się zdaje — nie wywołała tak ciężkiej choroby jak u nas. Mimo że wygrane są wysokie, gry liczbowe cieszą się ograniczoną popularnością. Czesi bowiem w cuda nie wierzą, są sceptyczni i oszczędni.



Brodaczy w Pradze jest mniej niż u nas, są też nieco starsi. Zauważyliśmy jednak, że mają i tam wielkie powodzenie u kobiet.

KONCEPCJA „PANNY DOKTOR” czyli pierwsza szkoła szpiegowska

Jej nazwisko nie należy do znanych. Gdyby komuś powiedzied, że dr Elżbieta Schragemüller, profesor uniwersytetu we Fryburgu wywarła ogromny wpływ na rozwój współczesnych form pracy wywiadu, każdy by się zdziwił. Interesujący się jednak tym problemem znają tylko legendę, a niektórzy także prawdę o „Fräulein Doktor”. Każdy jednak na ogół przypuszcza, że chodzi tutaj o arcyśpijnego szpiega, gdy tymczasem...

nie ma żadnych obowiązków i kontaktów ze światem.

Szczegółowy raport był z drobiazgowością psychologa-naukowca analizowany. Gdy kandydat nie odpowiadał warunkom — wychodził tylnym wyjściem, wprost... na front. Wtajemniczeni twierdzą, że wysyłano takich młodych ludzi na najbardziej niebezpieczne oddziały. Większość z nich nie wracała. Można by przypisać to zaciętości toczonych na froncie walk, choć być może znajdowali się ludzie pomagający przypadkom...

TAJEMNICA UL. PEPINIÈRE 10

Podobno panna dr Schragemüller nie należała do osób mogących być szczególnie ozdobą swojej pici. Była naukowcem, interesującym się od wielu lat szpiegostwem od strony teoretycznej. Miała zresztą całkowicie nowe, oryginalne pomysły organizowania wywiadu. W początkach pierwszej wojny światowej zgłosiła się z nimi do płk. Micolai, ówczesnego szefa wywiadu wojskowego cesarskich Niemiec. Rozmowa nie ograniczyła się do ram konwencjonalnych. W kilka dni później decyzja o założeniu pierwszej „Spionage Schule” (szkoły szpiegowskiej) zapadła. Dyrektorem została „Fräulein Doktor”.

Dla zmylenia czujności wywiadu i kontrwywiadu przeciwników, na miejsce założenia tej szkoły wybrano Antwerpię; działało się to bowiem już po zajęciu całej Belgii. „Panna Doktor” zachowała pełne reguły konspiracji. Dom obrany na szkołę mieścił się przy ul. Pepinière 10 i nie wyróżniał się niczym z szarej monotonii czynszowych kamieniczek.

TWARDE PRÓBY

Kandydat przekraczający próg tego domu musiał poddać się niełatwym próbom. Na wstępie zamknięto go na kilka dni w pokoju w pełnej samotności. Jedyne wyposażenie surowo umeblowanego pokoju była mała, podręczna biblioteka, starannie zresztą dobrana przez dr Schragemüller. Przez lustro umieszczone w ścianie „Panna Doktor” mogła obserwować zachowanie się kandydata na szpiega. Interesowało ją mianowicie, jakie książki wybiera badany, co pozwalało na określenie jego ukrytych skłonności, według jej mniemania — nieomylnie. Obserwowała, jak przyszyły jej wychowanek zapelnia sobie czas, czym się zajmuje, gdy

WŁAŚCIWE WYSZKOLENIE

Jeśli natomiast młody człowiek przebrnął przez pierwszą próbę, przystępowano do intensywnego szkolenia. Przede wszystkim języki obce, łącznie z dialektami. Nauka szyfrowania, sposoby przekazywania wiadomości, podstawowe wiadomości z dziedziny, w której przyszły szpieg miał pracować. Uczył się on także bardzo dokładnie obyczajów kraju lub regionu, w którym miał działać.

Punkt szczytowy systemu „Fräulein Doktor” polegał jednak na... generalnym przesłuchaniu. Prowadziło go wielu pracowników kontrwywiadu równocześnie. Egzamin ten miał charakter „pracy dyplomowej” ucznia szkoły szpiegowskiej. Delikwent musiał odpowiadać bez wahanja na krzyżujące się, z góry przygotowane pytania, padające bez wytchnienia — jedno po drugim. Dopiero, gdy zdający kandydat ostatecznie wcielił się w swój fikcyjny życiorys, pamiętając najdrobniejsze szczegóły — wypuszczano go na pierwsze zadanie.

Później próby ogniowe były surowsze. W szkołach szpiegowskich hitlerowskiej Abwehry „dyplomowe przesłuchanie” polegało także na biciu. Kandydaci poddawani byli torturom (tak!), by wymusić na nich przyznanie, że są agentami Abwehry. Wielu załamywało się, i to wystarczyło, by jak za czasów „Fräulein Doktor” powędrować na niebezpieczne oddziały frontu. Potem wielu agentów otrzmywało próbne zadanie, polegające niekiedy na szpiegowaniu armii... hitlerowskiej. Ponieważ zaś istniała stała zawodowa więź między organami Himmlera a wywiadem podlegającym Canarisowi, czasami nawzajem wylapywano sobie „dla kawału” takich próbnych agentów, nie bawiąc się z nimi w pieszczoły. W paru wypadkach omal całkiem na serio ich nie rozstrzelano.

W każdym razie można powiedzieć, że koncepcja „szkoły szpiegowskiej”, która zapoczątkowała dr Schragemüller — przyjęła się na stałe. Zmodyfikowana, unowocześniona, istnieje we wszystkich wielkich wywiadach.



Marek S. stanowią pewien wzorec klienta w Wydziale. Zatrudnienia. Klienta znajdującego się na rzeczy, z tradycją.

600 NA 14.000

Jako szesnastoletni chłopak zjawił się tu po raz pierwszy, szukał wtedy posady gońca.

Pracował trzy miesiące w Zakładach Drzewnych. Zginięło 300 złotych. Kierownik działu administracyjnego powiedział: — „Chłopak młody, po co peuc opinie?”

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Pośredniak

Zaproponował, żeby napisać podanie o zwolnienie na własną prośbę.

W Prezydium pracował jako goniec nie dłużej niż trzy miesiące. Ginęły drobne sumy, nie dochodziła korespondencja...

Marek S. po raz trzeci zjawił się w „Pośredniaku”. Zauważył, że twarze niektórych rówieśników są te same, co przed trzema miesiącami i przed pół rokiem.

Okazali się świetnymi kolegami, imponowali znajomością życia — „Coś frajer, za pięć stów być gońcem! Jak idzie fajny film, biletami przez cztery wieczory więcej zrobisz”.

Gdy Marek S. zjawił się w „Pośredniaku” po roku, nie był już debiutantem. Wrócił z domu poprawczego koło Wrocławia, gdzie przebywał za kradzież ciastek tortowych z kawiarni letniej „Sielanka”. Kawiarnia graniczyła z placem, na którym przesiadywał z kolegami grając w „chłusta”.

Miejsca pracy zmieniał teraz szybko. Pomocnik ślusarza u Dzierżyńskiego, robotnik w Zarządzie Zieleni, robotnik w tartaku aż za Szczecinem, robotnik w Częstochowie, pomocnik murarza w jakiejś spółdzielni w Łodzi...

Oczywiście, były to miejsca, gdzie dało się dobrze zarobić. Miejsca starannie „wyczekane” na kamiennym podwórku.

Marek S. nie pracuje więcej niż trzy, cztery miesiące w roku. Za to jak umie wyciska maksimum zarobków: sprzedaje odzież ochronna, narzędzia...

Pewna instytucja nawet się z nim procesuje. Za niewrócone buty, wатовaną kurtkę i spodnie. Procesuje się już od czterech lat.

W środku grupki mężczyzna. Trzyma przed sobą listę:

„Potrzeba kilku do straży — zarobek od 1.200 zł. Potrzeba do transportu — zarobek od 1.300 zł, potrzeba ... zarobek... potrzeba... zarobek...”

W środku grupki milicjant. Mówi o pracy w milicji, odpowiada na pytania, słowem — werbuje.

— No to siadaj, chłopie. Gdzie chcesz pracować?

— Transport, panie kierowniku, interesuje mnie transport. Ale tak, żeby z forsy było na cycuś!

Kierownik przegląda kartotekę zgłoszeń. Podaje nazwy przedsiębiorstw, zarobki w wysokości około 1.500 złotych. Marek S. wzrusza ramionami.

— Może chcesz w zakładach pończoszniczych? — zapytuje kierownik.

— W pończoszarni? — upewnia się Marek S. — Dobra, niech wreszcie będzie tu.

— A... nic z tego, bracie!

— No? — To nie dla ciebie. Zapomniałem, że zależy ci na forsie. Tu zarobek nieduży. Nawet nie 800 złotych.

— Wezme, panie kierowniku, dojdą jakieś godziny nadliczbowe...

— Kiedy właśnie nie. Pi-szą, że nie ma żadnych godzin, nie.

— Więc trudno, pewnie roboty będzie mniej. Wezme, — Nie, bracie, tak długo przychodzisz... wstyd by mi było dać ci taką lichą płatną robotę.

— Co pana obchodzi, daj pan i już. Ja mało zarobię, nie pan!

— Nie, nie mogę. Przyjdź za tydzień. Znajdę ci taką robotę, jaka ci się należy...

Marek S. wychodzi wście-

bie równocześnie zwrócono uwagę na systematyczny, działający wychowawczo awans. W koniecznych wypadkach zakłady pracy uzupełniać będą wynagrodzenia specjalnymi stypendiami.

Wśród młodocianych — połowa nie skończyła szkoły podstawowej.

ŚLYSZAŁA PANI — „POŚREDNIAK” MAJĄ ZAMKNAĆ

Na ludzi padł strach. Poszły w świat plotki. O pracę będzie coraz trudniej, będą zwalniać. Fakt, że do pracy od pewnego czasu zaczęto nabierać szacunku. Pojawiła się bowiem „Uchwała 384”. Obowiązuje już od 17 września.

Uchwała 384 — to przede wszystkim maksymalne ograniczenie etatów i funduszu płac. W drugim rządzie — zakaz przyjmowania pracowników mających dochody z racji np. posiadania ziemi.

Uchwała 384, to próba likwidacji demoralizującej ludzi płynności kadr, próba przywiązania człowieka do pracy, a tym samym zaangażowania go w interesy przedsiębiorstwa.

Uchwała 384, to posunięcie wstrzymujące odpływ ludzi z zaniedbanego rolnictwa do przemysłu.

Kiedy dokonano rzetelnej rewizji wolnych etatów — okazało się, że w Łodzi potrzeba nie 14 tysięcy ludzi do pracy, a tylko 2 tysiące.

Wolnych miejsc jest jeszcze i tak dużo (ledwie 500, 600 poszukujących pracy). O żadnym bezrobociu nie ma oczywiście mowy. Ale trudno teraz przebrać w pracy jak w przysłówiowych ulegalkach.

Marek S. wygląda na człowieka straconego.

Ostatecznie musimy stwierdzić, że Marek S. i jego koledzy to margines. Uchwała 384 poza swym zasadniczym aspektem — oszczędnością, wpłynie wychowawczo na tysiące ludzi „bimbających” na pracę, lekceważących ją, ludzi którzy dotychczas wiedzieli że mogą wybierać w setkach miejsc wolnych, dobrze płatnych, gdzie o kwalifikacje rzadko kiedy pytano.

P. S. Przypominam sobie, że w momencie robienia notatek z tablicy na podwórku (dziś już prawie pustej) włożyłem do bocznej kieszeni palta brązowe rękawiczki (skórzane), wartości 200 złotych, w dobrym stanie.

Gdyby kogoś ruszyło sumienie — proszę odesłać na adres redakcji.

T. Ż.

kty. Kierownik uśmiecha się do mnie.

— Pan rozumie, pończochy cenna rzecz...

MŁODOCIANI

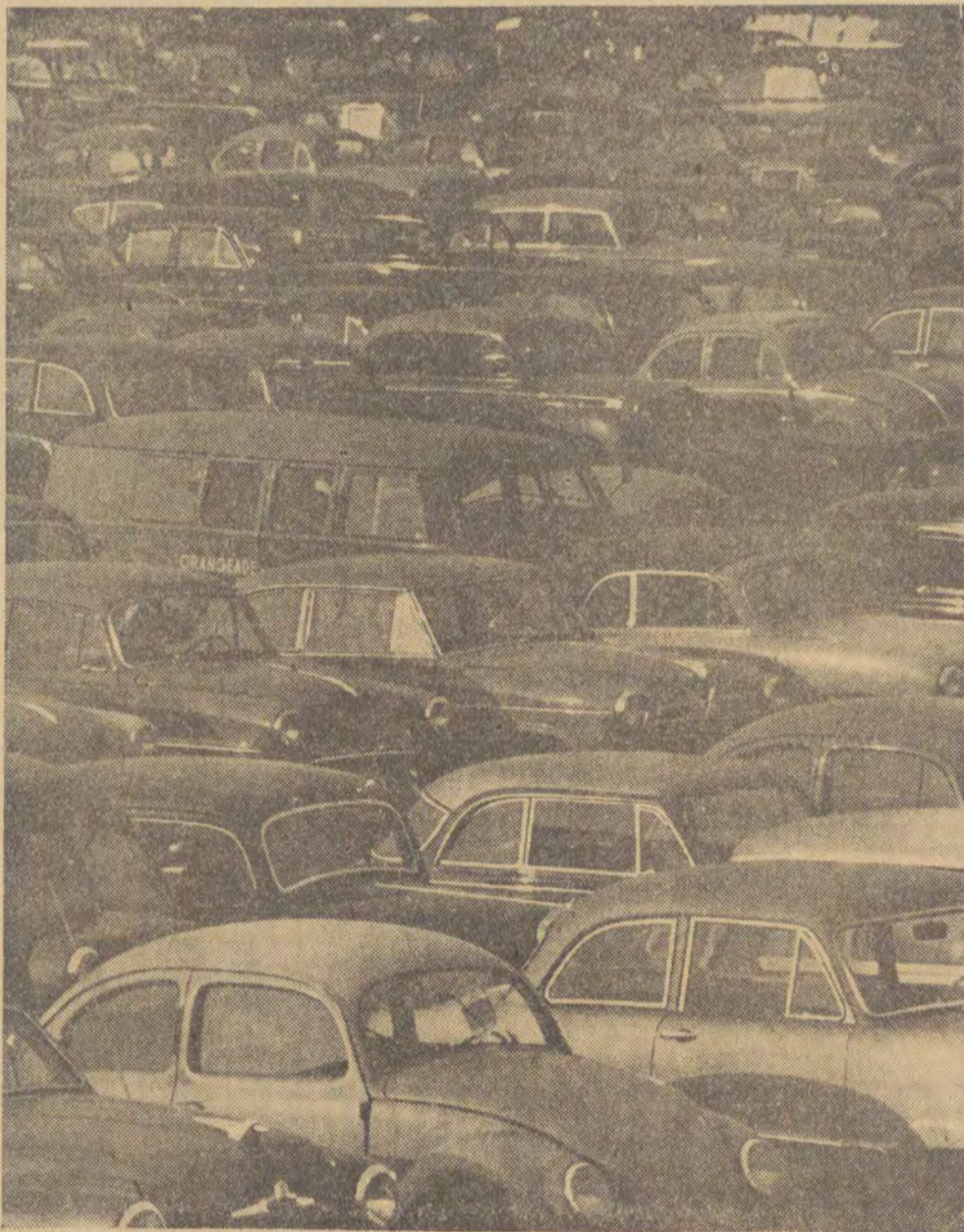
Najtrudniejsze zagadnienie w Wydziale Zatrudnienia — to młodociani. Stanowią oni prawie 50% zarejestrowanych.

Właściwie, skierowanie młodego chłopca czy dziewczyny do pierwszej pracy decyduje zwykle o ich przyszłości. Istotna jest tu również wysokość zarobku.

Od kilku miesięcy trwające modyfikacje w systemie zatrudniania dotyczą w dużym stopniu właśnie młodocianych.

Postanowiono, że kierownicy oni będą przede wszystkim do nauki zawodu z niskim zarobkiem w pierwszym roku — 260 złotych.





PRĄGNIENIA

Młodzież dyskutuje o samochodach. „Przekrój” drukował nie kończąca się, wieloodcinkową opowieść o tym, jak to jest, kiedy się kupuje i kiedy się już ma samochód. Samochód zastępuje dziś miejsce zarezerwowane dawniej dla bogatych księżniczek, milionerów z własnymi jachtami, domków z własnym ogródkiem. Dla wielu samochód staje się celem, dla którego warto żyć. Z zazdrością obserwujemy tych, którzy już posiadają maszyny na własnych czterech kołach.

Oczywiście wciąż jeszcze mało jest u nas samochodów. Otoczeni powszechnym podziwem właściciele tych, które są, zdają się rozrastać swą ważnością i dostojnością. Może się więc czasem wydawać, że jest ich więcej niż w rzeczywistości. Ale naprawdę to jest ich jeszcze mało. Wystarczy opuścić duże miasto, by natychmiast zorientować się, że szosy są jeszcze wciąż puste. Wystarczy uświadomić sobie, że nigdzie, w żadnym mieście nie powstały jeszcze trudności z zaparkowaniem wozu.

Ale choć faktycznie samochód jest wciąż jeszcze społecznym unikatem, to jednak rola, jaką on odgrywa w świadomości społeczeństwa jest już olbrzymia. Ogromne jest jego oddziaływanie psychiczne. Motor samochodu jest jednocześnie tym słońcem, który porusza bardzo wielu naszych współziomków. Porusza w przenośni, moralnie.

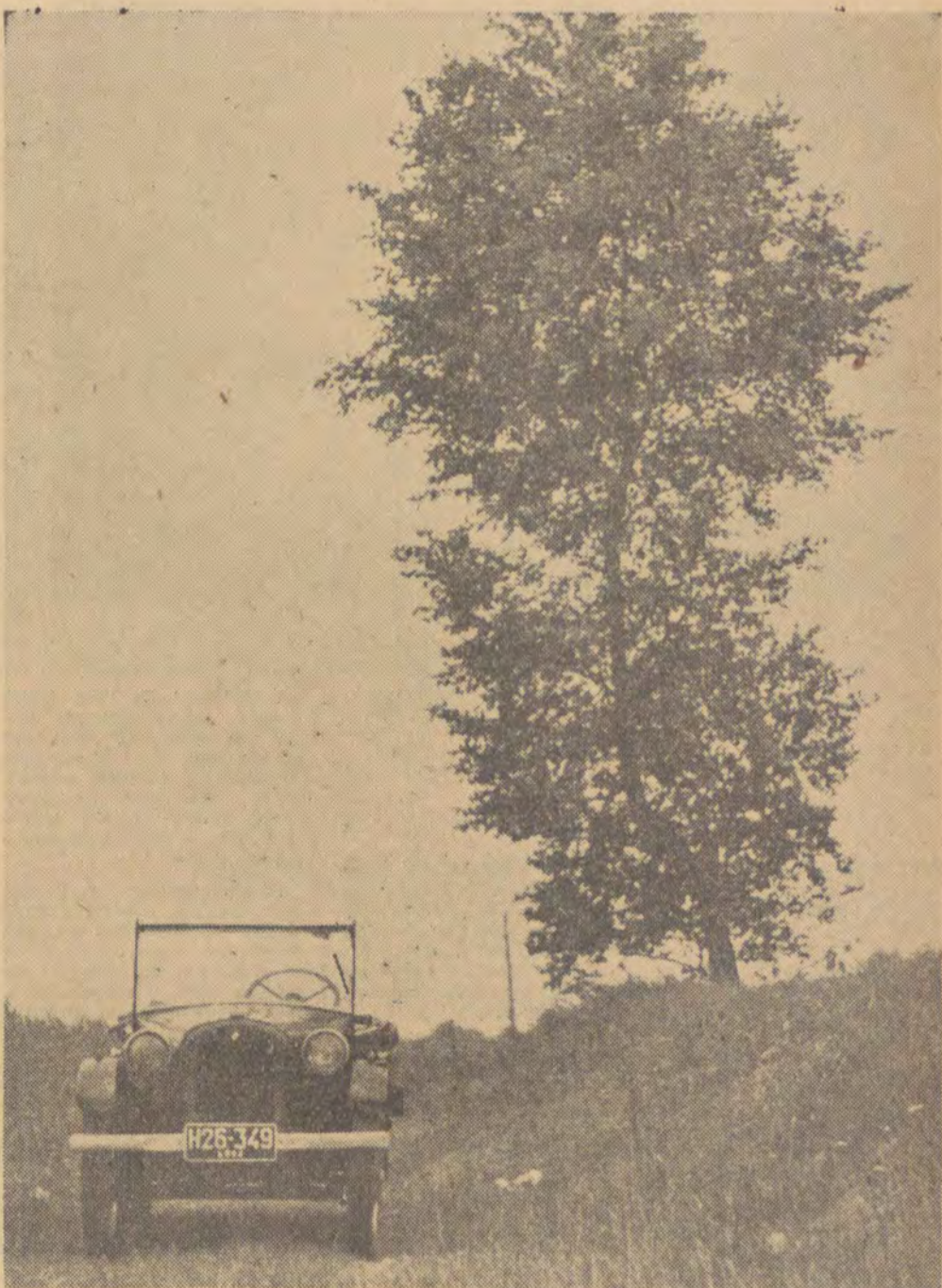
W roku 1957 spotkałem przypadkowo przedstawiciela wielkiej angielskiej firmy handlu samochodami. Bawił on w Polsce i próbował ułubić interes: sprzedaż dla górników dużej ilości używanych samochodów. Wozy te, choć używane, miały być jedne w bardzo dobrym stanie, choć oczywiście o wiele tańsze. Był to okres,

w którym górnicy zaczęli dysponować dewizami uzyskanymi za wydobycie ponad plan węgla. Angielski kupiec nie dogadał się z naszym „Motolimportem”. Zafrapowało mnie co innego. Kupiec oświadczył mi mianowicie, że perspektywy na ułobicie interesu są nikłe, ponieważ nasi górnicy nie chcą kupować używanych wozów. To nie, że jego — znana przecież — firma zapewniała doskonałą jakość dostarczanych samochodów. Górnicy oświadczyli, że oni potrzebują czegoś bardzo nowoczesnego. Inne wozy ich nie interesują.

powinny być absolutnie znaleźć ani jednego nabywcy. No, bo przecież gdzie leży sens kupowania „Mikrusa” za ciężkie kilkadziesiąt tysięcy, kiedy za cenę o 15—20 proc. wyższą można dostać wóz z prawdziwego zdarzenia.

Faktem jest, że ludzie mniej dziś marzą o „krążownikach szos” z ich całym luksusem, a więcej o zwykłych własnych czterech kołkach. Oznacza to niewątpliwie postęp: od czegoś zupełnie niemożliwego do czegoś bardzo trudnego, ale jednak do zrealizowania w

i



RZECZYWISTOŚĆ

nas ludzi, którzy by obliczali, czy ze względu na swoją pracę opłaci im się kupić samochód. A przecież odpowiedź na to pytanie jest decydująca w krajach bardziej zaawansowanych. Znam ludzi w krajach zachodniej Europy, ludzi dobrze sytuowanych, którzy nie kupili dotąd samochodu, ponieważ z charakteru ich pracy, z położenia mieszkania czy z innych względów, kupno samochodu im się nie opłaca.

U nas jest inaczej. U nas kupno samochodu nie opłaca się nigdy. Koszty związane z jego utrzymaniem,

egzamin na prawo jazdy trzeba nie tylko umieć jeździć i znać przepisy drogowe, lecz także znać dokładnie budowę samochodu, chodzić przez blisko pół roku na kursy, a prócz tego przypodobać się egzaminatorom, od których decyzji nie ma odwołania. Pełz milionów ludzi na Zachodzie, ludzi starszych, kobiet itd. pozostałoby bez prawa jazdy, gdyby wymagano od nich dokładnej znajomości skrzynki biegów. Ci ludzie za to umieją jeździć, czego nie można powiedzieć o większości naszych kierowców. Gdy im się popsuje samo-

głodu, strachu, nędzy, wojny itp.) doszła jeszcze jedna: wolność poruszania się.

Współczesny człowiek tęskni do tej wolności. Czy każdy? Na pewno nie. Arabscy fellahowie, chłopcy indyjscy, robotnicy kuczukowi na Malajach tęsknią do tych bardziej podstawowych wolności. O wolności poruszania się roją członkowie bardziej zaawansowanych społeczeństw. Nawet, jeśli im się to nie opłaca, jak u nas.

Gorączka motoryzacyjna trawia Polskę. Przejawia się ona pod rozmaitymi postaciami. Głód swobody poruszania się przejawia się na przykład pod postacią „autostopu”, który wybuchł w tym roku w Polsce z ogromną siłą. Podchwycił to ZMS: dla młodzieżowej organizacji jest to sprawa bardzo wygodna. Wszyscy się do niej garna, a po wydaniu książeczek i pewnej ilości deklaracji, można się nią więcej nie zajmować, choć przecież powinny być jakieś schroniska, strzeżone namiotowiska itp. Tego wszystkiego nie ma lub prawie nie ma. Autostopowicze nie mają gdzie spać, lecz pęd trwa, zaś ZMS patronuje popularnej akcji.

Jeśli więc ja, Ty i nasz znajomy roimy się o samochodzie, to nie dlatego, że samochód jest nam potrzebny do pracy i życia. Niektórym z nas może tak, lecz większości potrzebne jest zaspokojenie głodu przestrzeni i swobody poruszania się. Tak to jest w Polsce 1959 roku i tak jest na szeroki świat.

KAZIMIERZ
DZIEWANOWSKI

Głód nowej wolności

Wątpię, aby mój rozmówca miał rzeczywistości ściśle wiadomości. Nie przypuszczam, by przeprowadzał on jakąś szeroką ankietę wśród górników. Ale faktem jest, że spotkał ludzi, którzy tak mówili. Wówczas, kiedy samochodów jeszcze prawie nie było — stawiano wielkie wymagania. Albo wóz nowoczesny — albo nie. Przypuszczam, że kryło się za tym coś, o czym kupiec nie wiedział: przekonanie, że samochód jest czymś tak odległym i tak nierealnym, że stawiano od razu maksymalne wymagania, bo i tak nie wierzone, aby mogło z tego coś wyniknąć.

Od tego czasu coś niecoś się zmieniło. Wozów jest więcej. Nie są one już tak bardzo nierealne, przynajmniej dla niektórych kategorii ludności. Nie stawia się więc już tak wielkich wymagań. Najlepszym dowodem jest to, że ludzie kupowali nawet „Mikrusy” które przy swojej cenie nie

bliższej czy dalszej przyszłości.

Ale co kryje się za tym powszechnym marzeniem? Niektórzy odpowiadają na to: potrzeba, polskie trudności komunikacyjne i mieszkaniowe, powodujące, że wielu ludzi musi dojeżdżać do pracy po kilka godzin dziennie. Ale chyba jest to tylko częściowo słuszne. Jeśli zadać pytanie ludziom posiadającym już wozy, albo takim, którzy ciągle myślą, marzą i mówią o samochodzie — rzadko słyszy się odpowiedź: wóz jest mi potrzebny do życia. Oczywiście nie mam tu na myśli tego że wóz jest potrzebny do życia, jak jedzenie, ubranie czy mieszkanie. Choć w niektórych krajach tak już jest, to jednak u nas nawiązością byłoby poszukiwanie ludzi, którzy w ten sposób rozumieją standard życiowy. Mam tu na myśli innego typu potrzeby: ułatwienie pracy, ułatwienie życia. Nie spotyka się u

z paliwem, garażem, remontami, konserwacją są tak wysokie, że z wyjątkiem nielicznych jednostek, nikomu nie opłaca się posiadać samochodu. Nie opłaca się w sensie ekonomicznym. Tak więc posiadanie samochodu nie jest u nas zjawiskiem — że się tak wyrażę — powszechnego użytku, jak na przykład posiadanie odkurzacza. Jest ono przedmiotem dumy, radości, wewnętrznego zadowolenia, jednym słowem opłacalność samochodu zapewniana jest przez czynniki natury duchowej. Samochód jest u nas zagadnieniem emocjonalnym, a nie ekonomicznym.

I na tej zasadzie jest u nas zorganizowane „życie samochodowe”. Nieliczne stacje benzynowe, nieliczne, zle warsztaty z niefachową i nieuprzejmą obsługą, brak garaży — nawet rejestrowanie wozu związane jest z niewysłowionymi udrękami. Tylko u nas, by zdać

chód — oddają go do naprawy. Ale u nas za byle naprawę trzeba zapłacić 500, 1000 złotych.

A mimo to ludzie marzą o samochodach. Choć ekonomicznie wszystko przemawia przeciwko tym marzeniom, to jednak marzą. Dlaczego? Bo samochód jest symbolem pewnego poziomu życia. Bo jest symbolem własnego znaczenia. Bo daje nieskończoną sumę przyjemności (niektórzy właściciele wozów twierdzą wprawdzie, że najprzyjemniejszym momentem jest sprzedanie samochodu). Bo daje poczucie wolności. Człowiek w samochodzie jest panem własnych poruszeń. To ta wolność poruszania się urzeka Polaków i ludzi na całym świecie. Amerykanie, którzy umieją zorganizować życie tak, by ludzie nie myśleli o tym, co mogłoby być niewygodne, powiadają, że w dwudziestym wieku do wielu wolności, do których dąży człowiek (wolności od

odgłosy str. 5



SCENY ZE SZTUK:

„Brygada szlifierza Karhana”



„Henryk VI na łowach”

Cechą zespołu PTN jest niejako wrodzona skromność. Cnoty tej nie odmówią mu nawet jego krytycy-antagoniści. Przyjemnie tedy święcić jubileusz, wokół którego liczący sobie dziesięć lat staruszek nie zabiega, nie obrabia prasy, radia i telewizji, nie stawia kawy redaktorom od rocznic, narodzin i zgonów.

HISTORIA JUŻ ODLEGLA

W roku 1949, kiedy Leon Schiller był już pozbawiony własnego warsztatu twórczego a jego zespół rozproszył się po różnych scenach, lódekka tzw. Grupa Młodych Aktorów, w większości zresztą jego wychowanków, postanowiła założyć własny teatr. Myśl o nim wynikała z pewnej opozycji wobec Schillera, która po latach miała okazać się bądź fałszywą, bądź pozorną. Ale właśnie ze szkoły schillerowskiej wynosiła Grupa ideaowość, powołanie do społecznej służby sztuki, nie skrytaliczowane jeszcze marzenia o nowym teatrze.

Chwila po temu nie była najspokojniejsza. Teatry cechowało niezaangażowanie. Ówczesni politycy kultury usiłowali przewyciężyć panującą postawę desinteressent sposobem dekretowania, narzucenia zespołom sztuk z centralnie ustalonej „pulii repertuarowej”. Był to początek ogólnego kryzysu, mającego pograżyć teatry polskie na szereg lat.

Panowała podówczas koncepcja jednolitego modelu organizacyjno-gospodarczego dla wszystkich teatrów. Kurczyła się samodzielność w kwestiach zarówno ideaowo-artystycznych jak i kadrowych. Skrepowano teatry gęszczeniem przepisów administracyjnych i finansowych. Wszystko to doprowadziło w konsekwencji do nudy repertuarowej, szaryzacji inscenizacyjnej i zglajehszaltowania teatrów.

Na dobrą sprawę założony przez Grupę Młodych Aktorów PTN był jedynym zespołem w kraju, który potrafił oprzeć się tej „przemysłowej koncepcji” i zorganizować na zasadzie „doboru naturalnego” wokół wspólnych poglądów, a więc na zasadzie, bez której nie ma teatru z prawdziwego zdarzenia. W PTN od początku istniał prymat sprawy ideaowo-artystycznej i zarysowywał się odrębny profil.

GRZECHY MŁODOŚCI

Startując „Brygadą szlifierza Karhana” teatr deklarował solidarność z budowniczymi socjalizmu, pragnął nieść „pomoc ludzkom pracy w przemianie psychicznej” i jako „wielki repertuar” określił sztukę w rodzaju „Brygady”. W sztukach tych, jak to wówczas formułowali młodzi zapaleńcy — „problemy dorastają do wielkości naszych czasów, a ich treść i przedstawiane w nich konflikty pomagają ludziom w ich codziennej pracy...”

Zgodnie z tą deklaracją teatr nastawił się przez okres dwóch lat wyłącznie na sztukę współczesną. Tematyce były to utwory nowe, wnoszące na scenę problematykę współczesną. Zapal młodych tworzył przedstawienia dobie-

nie mogące jednak dać pełnej satysfakcji — widzowi, ani pożądanego doświadczenia — zespołowi. Widz niecierpliwie oczekiwał klasyki albo... krytyki, aktorzy dusili się w kręgu tych samych środków wyrazu i konwencji.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

TEATR ZAANGAŻOWANY

Toteż kiedy teatr stępnął po arcydzieło poezji romantycznej — „Horsztyńskiego”, wyszły na jaw wszystkie fatalne skutki przydługiego zasklepiania się w repertuarze współczesnym lub pseudowspółczesnym. Co prawda odczytanie tekstu „Horsztyńskiego” nie jako dramatu osamotnionego starca, lecz szlacheckiego rewolucjonisty było nowe, jednakże teatralnie rzecz poniechano klęskę. Nie udało się uuniknąć obciążenia inscenizacji manierą naturalistyczną, antypolityczną, nadmiernie opisowego stylu gry.

CIASNA KONCEPCJA WSPÓŁCZESNOŚCI

Oczywiście, z perspektywy lat łatwo stawiać diagnozę słabości teatru w tym czasie i określać względnie trafnie granice słuszności jego ówczesnego programu. Łatwo dziś, gdyśmy uświadomili sobie wszystkie wady i błędy popełnione na sztuce socjalistycznej, grzeszący ciasnym rozumieniem „współczesności” — za po prostu fałszywy. Ale w tamtych latach toczyła się gra o dużą stawkę, o polityczną zaangażowaną postawę teatru, o nowy repertuar, nowego bohatera dramatycznego, nową dramaturgię, wreszcie o przyciągnięcie i zjednanie dla tego repertuaru nowego widza, wyprowadzenie go z zaczerpniętego kręgu starych gustów. W walce tej nie stało się czasu na refleksję. A jeżeli ona przychodziła, to za ce-

nę błędów. Za cenę takich błędów, jak przeginięcie „pały” na dzisiejszość, wulgarny socjologizm w interpretacji klasyki, jak wreszcie schematyzm — tzw. sztuk produkcyjnych, od których PTN zaczął swą bądź co bądź awangardową działalność.

Awangardowość polityczna była znakiem urodzenia PTN. A polityka, jak wiadomo, niebezpieczna rzecz. Łatwo się w niej pomylić. Pomylił się więc w tamtym czasie i PTN, jak zresztą wielu twórców

kultury, hołdując ograniczonej koncepcji socjalizmu, która fetylizowała produkcję, czyniąc ją miarą wszechrzeczy, która tylko w deklaracji wyznosiła ponad wszystko człowieka, a w rzeczywistości nie- rzadko obracała się przeciw niemu, przeciw złożoności i wielopostaciowości form jego życia.

Mimo odrębności linii repertuarowej i własnego oblicza ideaowego, Teatr Nowy nie był jeszcze w owym czasie nowatorski. Prawda — dawał zawsze premiery starannie wyreżyserowane, z reguły dynamiczne, pełne życia, klarowne i z tzw. tezą; prawda — jego aktorzy potrafili zawsze wtoczyć w najbardziej schematyczne postacie dostatecznie dużo krwi, ale wszystko to nie wykroczało poza tradycyjne konwencje teatru naturalistycznego. Oczywiście, idee podówczas jeszcze „podskórnie” nurtujące zespół PTN nie mogły w konwencjach owych się pomieścić. W tym zespole ciągle z siebie niezadowolonymi musieli wreszcie nastąpić okres poszukiwań artystycznych. W poszukiwaniach owych decydującą rolę odegrała indywidualność reżyserska Kazimierza Dejmki.

ROZPRAWA Z KOMUNALEM

Szereg późniejszych eksperymentów scenicznych (zwłaszcza „Henryk VI na łowach” W. Bogusławskiego, „Opowieść o Turcji” N. Hikmeta i „Domek z kart” E. Zegadłowicza) cechowało od strony środków inscenizacyjnych łamanie konwencji zamkniętej

przestrzeni, od strony środków aktorskich — porzucenie wrystycznego, opisowego stylu gry, a od strony idei sięganie po problematykę szerszą niż poprzednia. Ukonowaniem tych eksperymentów stała się „Łaźnia” Majakowskiego.

„Łaźnia” była generalną rozprawą z komunalem o realizmie. Z tym komunalem, który zawsze „lepiej wiedział” niż twórcy, który nie cierpiał fantastyki. Z tym komunalem, który uważał fantastykę za politycznie podejrzaną i

ko tzw. ewenementy teatralne, które przyniosły teatrowi nową sławę ogólnopolską. To oznaki całkowitego zerwania z poprzednią, ciasną i fałszywą koncepcją współczesności. Zespół rozumiał coraz wyraźniej, poczynał chyba od „Henryka VI na łowach”, że współczesność teatru polega również na twórczym przewartościowywaniu dorobku kulturalnego poprzednich pokoleń, że poprzez klasykę można znakomicie wypowiedzieć ważkie prawdy o dniu dzisiej-

w „Łaźni” potwornej machiny biurokracji — owego nowotwora złośliwego na żywym ciele socjalizmu, nowotwora dławiącego i gubiącego, prostego człowieka — miało swój głęboki sens moralny. Ale nie tylko moralny — również polityczny. Był to właśnie pierwszy poważniejszy rozrachunek teatru Dejmki z postawą bezkrytycznej afirmacji. Było to porzucenie jej na rzecz postawy afirmacji przez krytykę, poprzez ten element, bez którego sztuka staje się służalcza i dworska.

Drugi taki rozrachunek stanowiło „Święto Winklerieda” J. Andrzejewskiego i J. Zagórskiego. Intelktualna zawartość tej inscenizacji antycypowała teatr treści października 1956. Nie bez kozery któryś z krytyków porównał te premię do „Wesela Figara” Beaumarchais. „Winkleriedem” chlęstał teatr Dejmki narodowe przywary i wady, tak sprzyjające wypaczeniom najwęższej przeszłości. Pił z tromtadracji, naiwne uleganie pseudorewolucyjnej demagogii, sztychł do słabości wobec popularnych a uswieconych tradycji, wygrywanych „ku pokrzepieniu serc”, wysmiewał zamilowanie do wystawnych jubileuszów i pięknych pochodów, przykrywających smutną rzeczywistość. Był to pelen intelektualnych aluzji pamflet na zwymordowania władzy, na kult jednostki i śmieśszosci. Pamflet uroczyście wyrażał te aluzje znakomitymi środkami teatralnymi. Było to przedstawienie niewątpliwie gorzkie, ale przecież moralnie oczyszczające.

Od tego dzieła leży się w teatrze Dejmki kompleks sztuk o manowcach władzy, o konfliktach moralności i polityki. Po „Winkleriedzie” sięgnął teatr do szekspirowskiej „Miarki z miarkę”, z której poprzez spłót tragicomicznych sytuacji wyziera stara, kartezyjska prawda, iż każdy człowiek posiadający władzę skłonny jest do jej nadużywania. Te samą prawdę ukazały ze szczególną siłą obrazy rozbieszczonej dyktatury krwi („Gra miłości i śmierci” R. Rollanda). Inszenizacja ta stawała teatru moralny dylemat naszych czasów: czy postęp ludzkości wart jest kilku świństów, a nawet zbrodni?

Hierozacja postawy prof. Courvoisier, nie chcącego kupić swego życia za cenę życia innych, odpowiadał na ten dylemat: nie. Mimo tak jednoznacznej negatywnej odpowiedzi, nie był to dramat rozczarowania i rezygnacji z rewolucji, lecz dramat ceny, jaką trzeba płać za jej wyrodzenia. Następne pozycje tego kręgu myślowego „Cienności kryja ziemię” J. Andrzejewskiego i „Nieboska komedia” Krasńskiego, należące dzisiaj do żelaznego repertuaru PTN, czynią zeń konsekwentnego „moralistę rewolucyjnego”.

Jest jeszcze jeden ciąg inscenizacji, wyznaczający trwałe cechy i wartości PTN. Datuje on się chyba gdzieś od „Nocy Listopadowej”, biegnie przez „Kram z piosenkami” i „Żywy Józef” a zmierza do „Barbary Radziwiłłówny” i będącego na afiszu „Akropolis”. Ciąg ten dotyczy „sprawy Polaków”, pędzącej jubilatą do miana teatru narodowego. Lecz to już całkiem inny problem.

METAMORFOZY AFIRMACJI

W pierwszym okresie PTN przyjął postawę zdecydowanie afirmującą polską rewolucję ludową. Była to postawa młodzieńczo namiętna, uczuciowo szczerza, intelektualnie bezkrytyczna, trochę doktrynerska, bo bagatelizująca złożoność i zawilżłość procesów społecznych i świadomościowych, traktująca sztukę li tylko jako narzędzie podnoszenia wydajności pracy. Wiele czasu minęło zanim zespół włożył w swoje programowe hasło „pomocy w przemianie psychicznej” treść głębszą i zaczął je rozumieć jako ogromnie skomplikowane żądanie ustanawiania humanistycznych norm w stosunkach międzyludzkich.

Pierwszym, nieśmiałym jeszcze, zwrotem teatru w stronę tej problematyki była wspomniana komedia Bogusławskiego „Henryk VI na łowach”. W tej komedii po rzz pierwszy na scenie PTN prosty człowiek śpiewał o świecie, w którym „intryga idzie do góry, a zasługa upada”. Ale była to zaledwie przegrywka do tragicomicznej „opery” współczesnej — „Łaźni” i dę następnych „gorzkich żarów” narodowych. Ukazanie



Mówi: KAZIMIERZ DEJMEK dyrektor i kierownik artystyczny PTN

Leon Schiller był jedynym polskim reżyserem, który realizował idee założyciela naszego teatru Wojciecha Bogusławskiego — i o Mickiewicza i Wyspiańskiego ją poszerzył.

Jest to idea ludowego, politycznego, narodowego teatru, walczącego o postęp społeczny, o wielkość i szlachetność naszego narodu.

W swoim skromnym zakresie Teatr Nowy pragnie służyć realizacji tej myśli.

Problem teatru narodowego, to przede wszystkim problem wyboru repertuaru i jego wykonania. Nasz wielki narodowy repertuar — to Fredro, romantycy i Wyspiański. Wykonanie — to przy pomocy środków i form nie-polskiego — niestety — pochodzenia „dobierać się do skóry” polskiego typu wrażliwości, psychiki i wyobraźni, tworzyć i ukazywać „zapach polszczyzny”.

Teatr dla Polaków — to teatr przeciwko Polakom. Wtedy będzie pełnił właściwą swoje funkcje.



„Laźnia”



„Don Juan”

Mówi:

JAN KOPROWSKI

— kierownik literacki
PTN

Zestawienie repertuaru, który by z jednej strony zaspokoili w pełni ambicje i dążenia kierownictwa teatru oraz zespołu artystycznego, z drugiej zaś — odpowiadał szerszym kręgom odbiorców sztuki teatralnej jest trudne, nierzadko — w ogóle nieosiągalne. Upodobania widzów idą czasami w poprzek upodobań i zamierzeń teatru, a bywa i tak, że plany wypracowane przez kierownictwo teatru nie zawsze zaspokajają oczekiwania i tęsknoty członków jego zespołu. Krótko mówiąc: przy układaniu repertuaru trzeba wziąć pod uwagę wiele elementów i okoliczności, dających się raczej dość rzadko całkowicie ze sobą pogodzić. Do tego dochodzi jeszcze jeden czynnik niebagatelny: miasto i środowisko społeczne, w którym teatr działa.

Teatr Nowy w Łodzi ma za sobą dziesięć pełnych lat doświadczeń repertuarowych. Trudno w doraźnej wypowiedzi mówić o tych doświadczeniach szczegółowo. Jedno w każdym razie jest pewne: Teatr Nowy w dalszym ciągu pragnie skupić swoją uwagę na repertuarze polskim: klasycznym i współczesnym, który w konsekwencji powinien doprowadzić do ukształtowania tego, co nazywamy repertuarem narodowym. Obecnie utrzymujemy w repertuarze następujące pozycje klasyki narodowej: „Nieboską komedię” Krasińskiego, „Barbarę Radziwiłłównę” Felińskiego i przygotowaną na jubileusz dziesięciolecia premierę „Akropolis” Wyspiańskiego. Z rozpiętego wewnętrznego konkursu naszego teatru, który dał pewne wyniki, wystawimy w roku przyszłym na „Małej scenie” — Jerzego Zagórskiego „Kongres w Farsafii”, Zdzisława Skowrońskiego „Przeciąg” i sztukę Janusza Warmińskiego „Człowiek z głową”. W dalszych planach przewidujemy „coś” Słowackiego, Żeromskiego, znowu Wyspiańskiego, coś ze staropolszczyzny, no i naturalnie każdą dobrą sztukę współczesnego pisarza polskiego, jeśli się taka trafi. Nie, nie zaniedbujemy dramaturgi obcej, „Hamlet” Szekspira i „Śmierć komiwojażera” Artura Millera, które są w planach („Komiwojażer” już w próbach) mówią same za siebie.

O odleglejszej przyszłości mówić trudno. Choćby dlatego, że zwykle z obmyślanymi planami los igrza.

Artykuł dyskusyjny

Teatr Nowy pozostawał zawsze wierny współczesności. W tym stwierdzeniu zgadzam się ze Zbigniewem Chylińskim. Ale i różni. Sądzę bowiem, że historia tego teatru jest historią heroicznego walki, wielkości i zwątpień pokolenia, zwanego w literaturze pokoleniem „pryszczatych”. „Pryszczaci” to termin umowny, pochodzi sprzed kilku lat. Dziś bowiem jest to już pokolenie ludzi dojrzałych. Tak psychicznie, jak i politycznie. Ale w roku 1939, czy nawet jeszcze 1938, generacja „pryszczatych” oddana była bez reszty namietnościom historycznym. Lub, powiedzmy inaczej — może ściślej — zdana była na laską Historii. Od tego pokolenia nie oczekiwał więc nikt rewelacji intelektualnych. Przynajmniej nie oczekiwał rewelacji tylko intelektualnych. Ani rewelacji tylko artystycznych. Rewelacje „pryszczatych” bywały zazwyczaj rewelacjami politycznymi. Tak jak i spektakle Teatru Nowego bywały przede wszystkim rewelacjami politycznymi. Taką rewelacją była „Laźnia”, podobną — „Święto Winklerieda”, podobną, w gruncie rzeczy — „Żywot Józefa”, atakujący z pasją prawdziwie gombrowiczowską, nie tylko narodowe wady i przywary, jak sobiepaństwo i pijaństwo ale także i polityczną niedojrzałość Polaków.

Nie zamierzam rozstrzygnąć tutaj niełatwego problemu wzajemnych stosunków sztuki i polityki. Chyliński rozstrzyga je z miejsca na rzecz polityki. A ja naprawdę nie wiem czy sztuka powinna angażować się w spór, toczony przez polityków. Czy też powinna opiewać czyste piękno pół roku, być tylko rewelacją wzruszenia i — ewentualnie — intelektu? Czy dozna aktualność niszczy daną nam materię, czy też ją wzmacnia? I co ma większe szanse przetrwania: dzieło, graniczące z publicystyką, utrwalające dzień dzisiejszy, czy odcia do ręki lub do którejś z pół roku? Dzieło, ustalające określenie pozycji człowieka poddanego naciskom i nakazom indywidualnego Losu, czy dzieło, próbujące przedstawić działania Sił Społecznych? Któż podejmie się dziś udzielić odpowiedzi na te pytania? Odpowiedź — zawsze indywidualna i zawsze niebezpieczna — jest sprawą wyboru, którego musi dokonać, chętnie lub niechętnie, każdy artysta. Zespół Teatru Nowego wybrał współczesność, postawę zaangażowaną. Kazimierz Dejmek jest, jak sądzę, artystą, którego bardziej niż posunięcia Losu interesują ruchy Sił Społecznych (nie jest to, blagam o właściwe zrozumienie, stwierdzenie deprecjonujące; nie jest to w ogóle stwierdzenie oceniające).

W spór o oblicze współczesności zaangażowani zostali w Teatrze Nowym także klasycy. Świadczy o tym przede wszystkim linia repertuarowa. Zauważmy więc bardzo znaczący brak pewnych naz-

wisk. Tak, na przykład, w dość długim przecięciu, bo już dziesięciolecie istnienia teatru, nie została pokazana widzowi ani jedna z komedii Fredry. Znowu muszę się zastrzec: to nie jest pretensja czy zarzut. Ale fakt ten może chyba wydać się dziwny, jeśli weźmiemy pod uwagę ogromną popularność — i to popularność wśród widzów, a więc zarazem kasowości — tego komediopisarza. Nie dziwny się jednak Fredro jest przecież pięknym przykładem niezangażowania.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Znaki zapytania

Przypomnieć tu wypada, że swoje komedie, opisujące gry i zabawy miłosne, układał gdzieś na marginesie epoki, która wydała „Kordiana” i „Redutę Ordona”, i reżyser, nawet jeśli byłby artystą, nie liczącym się zbytnio z tekstem, nad którym przyszło mu pracować, nie mógłby odnaleźć w tych komedijkach materiału do wypowiedzi na tematy świata nam współczesnego. A takiego właśnie, jak się zdaje, materiału szukał zazwyczaj Kazimierz Dejmek. I tak Szekspir i Moller i Krasiński mówić mieli o Polsce i świecie a.d. 1556 czy 1557 czy 1950. Pierwszą sztuką Mollera, wystawioną przez Teatr Nowy, był — pamiętajmy — „Don Juan” rzecz jakże różna od innych sztuk francuskiego komediopisarza. Z Szekspira Kazimierz Dejmek wybrał „Miarkę za miarkę”. Czemu nie „Sen nocy letniej”, czemu nie „Komedie omyłek”? Odpowiedzi nie trzeba chyba udzielać. Dzieła klasyków stawały się dla reżysera pretekstem. Nie tylko, rzecz jasna, ale przede wszystkim.

Uchylając się od udzielenia odpowiedzi na temat stosunku sztuki i polityki, nie podejmuję się też rozstrzygnąć, czy postawa Kazimierza Dejmka godna jest pochwały, czy też winna budzić wątpliwości. Wydaje mi się jednak że klasycyzm, odczytany w tym współczesnie, grozi szeregiem niebezpieczeństw. Przede wszystkim — niebezpieczeństwo zubożenia tekstu. Artysta — polityk (przepraszam za niecelny skrót) zawsze wybierze będzie z tekstu te partie, które jego zdaniem, są najlepszą aluzją do stosunków współczesnych, będzie je akcentował, inne usuwając w cień. Przykładem niech będzie tu spektakle „Miarki za miarkę” czy „Nieboskiej komedii”, w których, podobnie jak w „Święcie Winklerieda”

nastąpiło przesunięcie znaczeń utworu. „Miarka za miarkę” odczytana została jako pamflet przeciwko tyranii i bezprawiu, „Nieboska komedia”, inscenizowana w Nowym przez Bohdana Korzeniewskiego, stała się przede wszystkim dramatem Pan-kracego i dramatem tłumy. Każdy artysta posiada tylko pewną, dość ograniczoną sferę wzruszeń, którą danemu jest (którą może) wypowiedzieć. W wypadku teatru — dokonuje on wyboru materiału literackiego, wybiera więc pewne wzruszenia, zapisane przez innych. Stąd brak w repertuarze PTN tragedii greckich, stąd brak sztuk, orzekających o tzw.

mu dokonywać wynalazków, które dla innych pozostają chwilowo niezrozumiałe. Artysta zaangażowany chce sądzić i oceniać. Stąd dążenie — na pewno szlachetne — do możliwie pełnego porozumienia z odbiorcą, do komunikatywności. A chęć oddziaływania powoduje znowu dążenie do monumentalizacji. I stąd znowu krok tylko do uproszczenia, Teatr Nowy, odwołując się do pewnych form, wypracowanych przez Leona Schillera, budował i buduje więc pewne wzruszenia, zapisane przez innych. Stąd wielkim, nie jestem przekonywany, czy odwrót od naturalizmu w teatrze winien być

Wyspiańskiego nie jest chyba — jak sądzi Z. Chyliński — frapującą pozycją repertuarową. Odczytywany z niejaką podejrzliwością, Wyspiański ukazuje się nam jako pisarz, który — poza może „Weselem” — nie potrafił przekroczyć zaklętego kręgu tradycyjnej uczuciowości. A „Noc listopadowa” należy do tekstów szczególnie bogatych we wzruszenia „ojczyzniane”, jest ostatecznie, pochwałą wiecznej narodowej Elstery czy Somosierry, przynosi uczucia, znajdujące się poza kontrolą intelektu. Zauważyć też zresztą wypada, że „Żywot Józefa” był raczej odosobnioną w dziejach dejmkowego teatru próbą ironicznego spojrzenia na to, co nazywamy tradycją narodową. W przeciwieństwie do „Nocy listopadowej”, w przeciwieństwie do celebrowanej — bardzo pięknie zresztą — „Barbary Radziwiłłówny” Felińskiego.

Szwajcarski dramaturg Fryderyk Dürrenmatt — jego „Wizyta starszej pani”, rzecz daleka sporom o polityczne oblicze współczesności, a przecież o współczesności okrutnie dużo mówiąca, w inscenizacji Kazimierza Dejmka stała się dowodem, że wybór jest nie tylko przywilejem, ale i koniecznością dla artysty — otóż Fryderyk Dürrenmatt powiada, że pisząc „buduje świat, a nie system moralności”. Kazimierz Dejmek i aktorzy Teatru Nowego — czy wolno mi zacytować metaforyczną definicję — zrezygnowali z budowania świata czystego teatru, budują system moralności. Dla nas.



Scena ze sztuki „Nieboska komedia”

Wyobraźcie sobie, że Japonia zostaje pozbawiona przez 12 miesięcy możliwości eksportowania swych wyrobów do innych krajów. Ekonomiści obliczyli, że gdyby taka sytuacja zaistniała, 92-milionowa ludność Japonii musiałaby wymrzeć. Tak więc dla Japonii sprawa eksportu — to nie sprawa wyższej czy niższej stopy życiowej, lepszego lub gorszego bilansu płatniczego, ale sprawa w sensie dosłownym — życia i śmierci.

Japonia pozbawiona jest bowiem prawie całkowicie własnego rolnictwa. Żywność musi kupować za dewizy, które zdobywa sprzedając własne wyroby przemysłowe. Handel jest dziś nie łatwą sztuką, a znalezienie zbytu na zalanych wszelkim towarami międzynarodowych rynkach nie lada trudem.

PARADOKSY

Trudności te znacząco pogłębia jeszcze jeden fakt o znaczeniu zasadniczym. Gdy obserwuje się w Tokio gmachy z metalu i szkła, niezliczone auta, wagony metra, całe wyposażenie techniczne tworzące ultranowoczesne miasto, gdy spogląda się na przepływającą ulicami potężną falę ludzka — trudno uzmysłowić sobie, że np. w odzieży jej nie ma ani grama bawełny pochodzenia japońskiego, ani jednej nitki wełnianej z japońskiej owcy. Metal widoczny wokół? Dostarczono go z Indii bądź z Ameryki.

Paliwo poruszające auta? Importowano je co do jednej kropki.

Świetne opony „Made in Japan”? Kauczuk w całości importowano z Malajów lub innych krajów.

Japonia importuje także w 100 proc. tak ważne surowce jak nikiel, boksyt, fosfory, ołów i in. A jednocześnie Japonia zajmuje drugie miejsce w świecie w produkcji tkanin z włókna sztucznego, czwarte w produkcji plastików, szóste w produkcji stali. Japoński przemysł elektroniczny rozwija się szybciej od amerykańskiego. Japonia zajmuje drugie miejsce w świecie jako producent statków, a pierwsze jako eksporter.

I te właśnie paradoksy, a nie zanikająca coraz bardziej egzotyka tego dalekiego kraju, stanowią, że jest on ciągle fascynujący dla dziennikarzy, polityków i ekonomistów.

Dwa wspomniane już fakty są przyczynkiem dla wyjaśnienia tych paradoksów. Pierwszy stanowi fakt, że eksport jest dla Japonii sprawą życia i śmierci, drugi, że japoński robotnik — biorąc pod uwagę jego kwalifikacje i wydajność — należy do najgorzej uposażonych robotników świata. Udział kosztów robocizny w ogólnych kosztach produkcji jest tu w porównaniu z tymi samymi wskaźnikami w Europie Zachodniej i Ameryce żułkomy. Tak więc wielkim kapitalistom oplaca się lokowanie tutaj swego kapitału. Jeśli zaraz po klęsce militarystów japońskiego Mac Artura zapowiedział i w znacznym stopniu dokonał likwidacji wielkich karteli i trustów, to już dziś większość z nich wznowiła swą działalność oczywiście przy pomocy Amerykanów. Mam tu na myśli głównie także potęgę, słynną z popierania imperializmu japońskiego, jak „Mitsui” i „Mitsubishi” (Kapitał „Mitsui” w r. 1937 równał się budżetowi państwa japońskiego). Dziś trusty te znowu dysponują potężnymi kapitałami, tylko tym razem w znacznym stopniu amerykańskimi. Kto ładuje swe kapitały, pragnie, aby były one

dobrze zabezpieczone. Stąd dyktat amerykański w Japonii, stąd ostre represje przeciw lewicy.

Dni, w których przebywałem w Japonii, należały do szczególnie nerwowych. Przez miasto, co jakiś czas z wyciem syren pedziły policyjne samochody, które wyglądem do złudzenia przypominały przybyszowi z Polski okupacyjne „budy”. Uzbrojone patrole policyjne spotkać można było co kilkaset metrów.

KEMPETII..

— Policja w akcji — mówi oprowadzający mnie po Tokio japoński dziennikarz Numoto Samudzuki. — Coraz częściej można ich zobaczyć w akcji. Kiedy pierwszy raz po wojnie rozpedzali demonstracje komunistów i socjalistów — pamiętam było to w kwietniu 1946 roku — nie czuli się tak pewnie, jak dziś. Potem to już „poszło”. Dziś każde kolejne wystąpienie policji przeciw robotnikom przestało być sensacją. Ale tym razem nie pójdzie im tak łatwo.

— Dlaczego? — Dłaczego? — To dość skomplikowana historia i sięgająca daleko wstecz. Kiedy w 1945 roku Amerykanie otworzyli bramy więzień, wyszło na wolność coś około 150 komunistów. Policja japońska „troskliwie” zadbała o wyniszczenie całej wieloletniej kadry partyjnej. W ciągu wielu lat przed kapitulacją wszyscy działacze, których nie zamordowano, siedzieli w więzieniach. Mimo to z cel kierowali pracą tych niezliczonych grup komunistycznych, które mimo straszliwego terroru sprawowanego przez „Policję myśli” nie przerwały działalności.

— Jak to robili? — pytam. — W więzieniach wolno było otrzymywać książki o ustroju cesarskim. Na marginesach tych książek, krochmałem pisane były sprawozdania z działalności nielegalnych grup komunistycznych. Potem ktoś z więźniów kaleczył się i prosił o jodyne, która służyła do odczytywania znaków napisanych krochmałem. Gdy trzeba było zwracać książki, więźniowie oddawali na nie mocz, by zmyć jodyne i klajstrem z maki pisali listy na wolność.

Tych stu pięćdziesięciu ocalałych z więzień Kempetii to była po wyzwoleniu podstawowa kadra partii. W kilka tygodni potem liczyliśmy już 1200 członków, a nasz organ „KACHATA” (Czerwony Sztandar) osiągnął nakład 20 tysięcy.

Jednocześnie z kilku małych przedwojennych partii lewicowych powstała partia socjalistyczna. Była to partia bardzo niejednolita. Działy w niej różne frakcje. Od profaszystowskiej do prokomunistycznej. Początkowo prowadziliśmy bardzo wiele wspólnych akcji. Później jednak w partii socjalistycznej zwyciężyły elementy prawicowe...

Między tym, co mówi Samudzuki, a wzmożona własnie działalność policji istniejące ścisły związek.

SPOŹNIONY ZAPŁON

Ostatnio w partii socjalistycznej zwyciężyły elementy lewicowe. Na zjeździe w 1958 roku wystąpił z przemówieniem powitalnym sekretarz partii komunistycznej, Nosaka. Zjazd uchwałił m. in. takie postulaty, jak walka o niezależność od USA, żądanie uznania Ch R L, wysunięto także projekt stworzenia na Dalekim Wschodzie strefy bezatamowej. Mówiąc krócej stworzona została atmosfera, w której powstawać zaczął jednolity front so-

Tekst i zdjęcia WIESŁAW GÓRECKI



Japońskie świątynie należą do najpiękniejszych na świecie

Egzotyka



Fudźijama — słynny, potężny wulkan. Stara legenda japońska głosi, że kto opuszczając Japonię zobaczy Fudźijamę wróci tu jeszcze...

i polityka



Podmiejski dom towarowy Stroje z różnych epok...

cjalistów i komunistów. Zaniepokojony tym rząd wniósł do parlamentu projekt ustawy „O prawach i obowiązkach policji”. Rząd postulował, aby policja miała prawo aresztować nie tylko tych, którzy dokonali przestępstwa lub o dokonaniu przestępstwa podejrzanych, ale także tych „co do których zachodzi podejrzenie, że mogą przestępstwa dokonać”. W praktyce oznaczało to danie policji prawa do aresztowania każdego. Ponadto projekt postulował nadanie policji prawa rozpędzania wszelkich manifestacji, zakaz strajków, zezwalał na policyjną ingerencję w działalność związków zawodowych. W myśli projektu policja miałaby prawo wzywania wojska do pomocy w walce ze strajkującymi robotnikami.

Rząd miał jednak, jak to się mówi, „spóźniony zapłon” — czyli refleks. Przegapił moment konsolidacji lewicy.

W czasie pobytu byłem w Japonii świadkiem potężnej walki politycznej przeciw projektowi ustawy. Walki, która zasięgiem swym objęła cały kraj. Widziałem strajki i manifestacje w wielkich japońskich miastach — w Tokio, Nagoji, Kobe.

Przeciw projektowi dekretu jako pierwsza wystąpiła partia komunistyczna. Także japońska partia socjalistyczna i jej parlamentarna ogłosiły rezolucję wzywającą do ogólnonarodowej akcji przeciw ustawie. Socjaliści zażądali rozwiązania Izby Niższej parlamentu i ustąpienia premiera Kiszii. Zawarte zostało oficjalne porozumienie między socjalistami i komunistami. Po raz pierwszy od wielu lat socjaliści i komuniści wspólnie kierowali wielką masową walką polityczną. W strajkach i manifestacjach wzięło udział ponad 9 milionów ludzi. Nawet japoński parlament, parlament kraju, gdzie spokój i uprzejmość są cechami narodowymi, stał się widownią ekscesów wywołanych przez lewicę parlamentarną, która w ten sposób pragnęła nie dopuścić w ogóle do debaty nad projektem ustawy. Bowiem trzeba pamiętać, że partia premiera Kiszii dysponuje w parlamencie większością.

Jednak po długu trwającej walce premier Kiszii przerażony zakresem i potęgą protestu nie podjął ryzyka. Wycofał projekt ustawy z parlamentu.

Czy dziwicie się więc, że policja nie była w zbyt dojrzałej formie i niezbyt uprzejmie odmawiała mim próśbom?

Proszę wziąć pod uwagę ocenając te wydarzenia, że Japonia jest krajem o niezbyt demokratycznych tradycjach. Wszelkie instytucje — religia, policja służyły zawsze umocnieniu władzy cesarza. Dwie rzeczy decydowały. Kościół szintoistyczny i policja.

SZINTOIZM — 8 MILIONÓW BÓSTW

Szintoizm to wiara w boskie pochodzenie cesarza i powierzona narodowi japońskiemu misje panowania nad światem. Wiara ta opiera się na mitologii i otacza kultem około 8 milionów bóstw z boginią słońca Amaterasu na czele, której potomkiem jakoby jest cesarz. Od 1867 roku szintoizm stał się religią państwową, obowiązkowo nauczaną w szkołach i służył wychowa-

niu oddanych na śmierć i życie cesarzowi obywateli. Zabezpieczeniem tego posłuszeństwa zajmowała się w Japonii policja. Wszelkąd policja ograniczona była tylko władzą kilku generalistów. Poza normalną policją i organami bezpieczeństwa istniała jeszcze „Policja myśli”. Zajmowała się ona sprawdzaniem lojalności obywateli. Nie ma chyba na świecie środków tortur i męczarni, którymi wzgardziłyby ta instytucja. Policja była więc dla ludności symbolem bezprawia i ucisku. Oto gdzie szukać przyczyn tego potężnego protestu przeciw wspomnianemu projektowi ustawy.

Kilka lat temu znany amerykański dziennikarz Mark Gayn pisał w swym „Dzienniku japońskim”: „Gdybyśmy przeprowadzili planowane początkowo reformy, odsunęli od władzy „japońską starą gwardię” i ułatwili wyłonienie nowego liberalnego kierownictwa... gdybyśmy pamiętali, że nawet w okresie kryzysu międzynarodowego interesy ludności miejscowej powinny mieć pierwszeństwo przed naszymi planami strategicznymi, gdybyśmy wszystko to uczynili, nie tylko mielibyśmy dziś w Japonii prawdziwą demokrację, ale Waszyngton pozostawiłby się trosk związanych ze wzrostem japońskiego komunizmu. Naszym największym błędem było mniemanie, że reformy demokratyczne mogą przeprowadzić i przeprowadzą ludzie, którym są one nie-nawistne”.

Amerykański dziennikarz myli się chyba tylko w jednym. Amerykańscy politycy pragnęli i pragną utrzymać japońską demokrację w ramach gwarantujących im ich interesy strategiczne i ekonomiczne. I z tego punktu widzenia to, co Gayn nazywa błędem, obecnie należy jako świadome zamierzenie. A jeśli chodzi o japoński komunizm, to rzeczywiście zapowiada się coraz bardziej na to, że przysporzy on władców Japonii i jak pisał Gayn — Waszyngtonowi, sporo kłopotów.

POSŁOWIE REPORTERA...

Reporter prosi Was o wybaczenie, że w cyklu reportaży „Przez porty świata”, w których jak dotąd starał się unikać zbyt szczegółowego wnikania w problematykę polityczną krajów o których pisał, znalazł się odcinek znacznie od tej zasady odbiegający. Stało się tak, bowiem zafascynowałem fakt, że dziesiątki tysięcy kilometrów jakie dzielą Japonię od Europy czy Ameryki przyniosła tylko inny folklor, obyczaj, to wszystko co stesknieni podróżnicy i przygód hołubimy troskliwie w swojej wyobraźni i nazywamy EGZOTYKA. Jedno wszakże się nie zmienia. Problemy, które możemy nazwać „sprawami robotników całego świata”. — Walka o poprawę egzystencji, o wolność, prawo do swobodnego rozwoju wszystkich narodów. O! takie sprawy, które każdy przecieć zna z teorii i krzywi nos, że niby nudne a jednak, kiedy zamiast książkowego zdania, wyświechtanego zbyt częstym używaniem frazesu, przemówią ludzie, dzieciące się fakty, wzburzona ludzkim milionowym tłumem ulica, wiedzą... Zresztą jeszcze raz przepraszam, że tym razem nie było o egzotyce... Przed nami Mandżuria, Port Artur...

czyli Japonia po raz drugi



Scena z omawianego programu felietonów w naszym tygodniku

7 dni chudych

Rożrywajka

W yjątkowo bezbarwny program zapropozowała nam telewizja w ubiegłym tygodniu. Na domiar sramy nie byłoby o czym pisać, gdyby nie kilka ogólnych refleksji, które poruszają nasuwają się w związku z programami rożrywkowymi. (O zwartkowym widowisku teatryku „Kobra” p. „Alibi” kilka słów obok).

Ostatnio telewizywnie nie- H można obelżyć try- pomyśleć rożrywkowe. Przynajmniej w koleśności: sobota, 28. XI. — audycja rożrywkowa z Łodzi, piątek 4. XII. — transmisja wirtuozów z okazji „Barburki”, sobota 5. XII. — spotkanie miłośników STS „Pstrąg”. Tak się złożyło, że dwie z tych audycji były dziełem Łodzi, a więc tym większa uwaga war- to tej sprawie poświęcić. Każdą zyskała sobie miłośniczkę o najbliższych programach rożrywkowych i od dłuższego czasu specjalizuje się w tego typu audycjach. Fakti in- wajliwie radzimy. Jest, to bowiem ważny i potrzebny dział programu telewizyjnego. Warto więc o niego zadbać i w- o nim pisać.

W chwili obecnej telewizja siła się już w Polsce równie popularnym działem sztuki jak film. Do tej pory nie do- zeznala się ona jednak po- ważniejszego potraktowania w prasie, ani nie zdobyła gro- recenzentów. Dotychczasowe poręcze sprawodawcy ma- charakter sporadyczny, a co gorsze odwręcała ją bar- dzo swojsze gusty. Olo przykła- Dacie późno, bo dopiero w

ALIBI
Wystawiona w ubiegły czwartek przez teatrzyk „Kobra” sztuka pt. „Alibi” była jedną oprócz Józkiego „Pstraga”, audycją własną telewizji w ostatnim tygodniu. Chocby dlatego warto o niej wspomnieć. Słowo „wspomnieć” jest tu zresztą dobrze użyte. Cóż bowiem zrobić z przedstawieniem, które posiadało znakomitą



JERZY ANT CZAK
głównym reżyserem LOT

Reżyser Jerzy Antczak ce- lepszych pozycji polskiego te- zyz się dobra opinia jako dowodzący LOT powołał twórcę spektakli telewizyj- rez. Antczaka do stajki wesp- traktów” zyskała wysoka o- pełni on funkcję głównego sceny krytyki jako jedna z reżysera LOT.

obsadę (Winička, Swider- ski, Gogolewski), dość inte- resujący scenariusz a w kon- cu nie pozostawia większego wrażenia. „Alibi” to sztu- ka przede wszystkim sensu- cyjna, nie pozbawiona jed- nak psychologiczno-filozo- ficznego zacięcia o egzysten- cjalistycznym smaczku. Tu- taj jednak realizatorom nie starczyło oddechu. Dobrze zrobili oni ekspozycję, która zapowiadała przedsta-

wienie dużej klasy. I tak mogłoby być gdyby nie epi- log, źle wyreżyserowany i źle zagrany. Epilog przy te- go typu sztukach jest naj- ważniejszą częścią przedsta- wienia. Gdy on zawodzi dziele się to co stało się z „Alibi”. Pozostaje wrażenie niedosytu i straconej szansy. Winička i Swidercki to jednak świetna para, która radziłaby jak najczęściej w telewizji oglądać.



Jeśli spędzisz drugą gru- pę zakłóceń pogodzących z obcych stacji, to wbrew po- zorem są to bardzo trudne do zidentyfikowania, oczy- wiście wyjątkiem wypad- ków (awaryjnie ekspansji na

W tym zakresie bowiem istnieje przepisy prawne (medykomunikacyjne) zabrania- jące pracy w pasmach prze- znaczonych dla telewizji. W oparciu o te przepisy każdy „duski radionamior” lub wadliwie pracująca sta- cja nadawca musi ulec lik- kwidacji. O tym, że wypad- ki tego rodzaju występują na terenie naszego woję- wodztwa świadczy sprawa Piotrkowa, w którym od dłuższego czasu w pewnych godzinach odbiór jest wprost niemożliwy. Dzięki interwen- cji telewizorów już działa tam specjalna ekipa, a o re- zultatach tej akcji postaram się pisać w najbliższym

PROGRAM TYGODNIA
10.XII.1959 —

MIPEK
16.45 Program dla młodzieży „Quiz górniczy” (K). 18.15 Łódzka Kronika Filmowa (K). 18.30 „Pierwsza seria — Biały Fabryka Zegarów” — rep. TV (W). 19.00 „Goście milie widzian” (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 19.50 Reklama ogólnopolska (W). 20.00 Rozmowa o książkach (W). 20.10 Estrada filmowa (W). 20.30 Telewizyjne Studia Literackie „Różaniec z granatów” — insc. TV w g. Ksa- werego Pruszyńskiego (W). 21.30 Ostatnie wiadomości (W).

MIPEK
11.XII.1959 —

18.05 Wszystkie dni tygodnia (L). 18.35 Felieton aktualny (K). 18.50 Program publicystyczny (L). 19.05 Film krótko- metrażowy (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 19.50 Re- klama ogólnopolska (W). 20.00 Film krótkometrażowy (W). 20.15 Teatr Telewizji Łódzkiej „Upiory” dramat Henryka Ibsena (L). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA
12.XII.1959 —

16.30 Program dla dzieci starszych: 1) Dwaj duzi malej Zuzi, 2) „Chorągwie na wierzach” film fab. prod. radz. (W). 18.20 „Pegaz” — mag. kulturalny (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 19.50 Reklama ogólnopolska (W). 20.00 O programie (L). 20.15 „Niebo czy piekło” film fab. prod. franc. doz. od lat 16 (16 mm — zakłopotany) (W). 21.50 Ostatnie wiadomości (W). 21.55 Teatr Piosenki — „Kirsch z piosenkami” rez. Jerzy Dobrowolski (W).

NIEDZIELA
13.XII.1959 —

14.00 „Ewa chce spać” film fab. prod. pol. (W). 15.35 Program dla dzieci starszych: 1) Ukochane książki, 2) Pia- tka z Wasy. Skarbów — film prod. ang. odd. IV (W). 16.10 Przerwa. 16.30 Film krótkometrażowy (L). 16.40 Pro- gram dla dzieci starszych „Ukochane książki” (K). 17.00 Sprawozdanie z meczu hokeja na lodzie „Górnik” Katowice — „Legia” Warszawa, Transmisja z Toruń w Katowicach (K). 19.15 Film krótkometrażowy (L). 19.30 Dziennik tele- wizyjny i niedzielny magazyn aktualności (W). 20.10 Tele- turniej „Nasze kobiety” (W). 21.10 Film fab. prod. polskiej „Sprawa do zakłatwienia”.

WIEDZIAŁEK
14.XII.1959 —

17.15 Program dla dzieci. Magazyn. 18.15 „Eureka” — mag. pop.-naukowy. 18.45 Program pt. „Po 20 latach” — scenariusz K. Lubczyka. 19.30 Dziennik telewizyjny. 19.50 Poznanski (ze studia w Łodzi). 20.30 Film krótkometra- żowy (Łódź). 20.40 Teatr Telewizji Katowickiej „Do ostat- niego człowieka” — sztuka Roberta Moliere — w tłum- Jęzgo Łiwoskiego (transm. z Katowic) 21.50 Ostatnie wiadomości.

SKODA
16.XII.1959 —

17.00 Program dla dzieci: 1) „Zrobię to sam”. 2) „Sia- dami wieków” — mały quiz historyczny. 3) Film „Sport młodych”. 18.45 — 19.00 „Przeobraż miś”. 19.00 „1000 lat sztuki średniowiecznej”. Program z cyklu „Jak patrzeć na dzieło sztuki”. 19.30 Dziennik Telewizyjny. 19.50 Re- klama. 20.00 Teleturniej: „Kółko i krzyżak”. 20.30 „Ducie”. — film fabularny produkcji franc. dozwolony od lat 18 (Łódź). Po filmie ostatnie wiadomości.

Pan Telewizor radzi zobaczyć
Konieczne „UPŁOKY”
dramat Henryka Ibsena w reżyserii Jerzego Antczaka w piątek o godz. 20.15

Na zdjęciu scena z inscenizacji noweli Verroca „Mila- czenia morza” w reżyserii Jerzego Antczaka i Kazimierza Oracza. Przed kamerą: Zofia Taubwurz, Marian Nowicki i Michał Pawlicki. Fot.: Ryszard Basler

Z. J. K.